

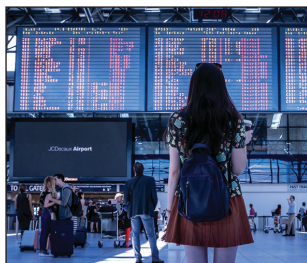


© CC0 Public Domain

## Wrocław

Zbliżał się czas powrotu do domu. Przez przedostatni tydzień jeździliśmy zgodnie z planem. Profesor ani słowem nie wspomniał, że jest obrażony, czy ma uwagi do naszej grupy. Tymczasem podczas ostatnich dni bazowych nagle zakomunikował, że wysyła nas do Wrocławia.

Tekst Anny Winner 4



© CC0 Public Domain

## Emigracja

„Emigracja, emigracja, śniadanie w Warszawie, w Chicago kolacja”. Słowa realne i zachęcające, ale czy zawsze to przedsięwzięcie jest takie łatwe?

Artykuł Marka Lewandowskiego 3



## Sceny z życia nieznanego malarza

Opuścił Polskę by szukać *da Vinci ducha*. Zdobywać ostrogi i zaistnieć jako artysta! Z nienasyconą ciekawością do nowego świata, nabierał mnóstwo przygód. Obiecał sobie pootwierać bramy–sezamy – wytrychem, pędzlem, ołówkiem i węglem.

O KSIĄŻCE MIESZKA TYSZKIEWICZA PISZE TedTrela. Strona 2



### AMA DENTAL

nowoczesne centrum stomatologii w Sztokholmie. Naszą misją jest zapewnienie pacjentom najwyższej jakości naszych usług dentystycznych z zachowaniem maksymalnego komfortu oraz miłej i przyjaznej atmosfery.



ZAPRASZAMY!

073-7348537

Skarabacken 11

121 48 Johanneshov

info@ama-dental.se

www.ama-dental.se



### POLSKI DENTYSTA

pogotowie bólowe konsultacje, chirurgia, protetyka, diagnostyka, higiena, usuwanie kamienia, wybielanie - stomatologia zachowawcza z endodoncją



Eurotand Klinik

Nynäsvägen 319

122 34 ENSKEDE

Tel: 08 284 482

Mobil: 0720 22 55 80

info@eurotandklinik.se

www.eurotandklinik.se

Pomoc w nagłych wypadkach



### I MÅNKARBO AB

Sprzedaż wędlin i mięsa wieprzowego (póltusze), baraniny i dziczyzny. Mięso szwedzkie od okolicznych rolników i myśliwych.

Produkcja wędlin i rozbiór w własnej ubojni w Szwecji. Dowóz na adres na terenie Sztokholmu i Uppsala län. Wysyłka DHL na teren całej Szwecji.

www.mankarbocharkuteri.se  
info@mankarbocharkuteri.se

### ZABIEGI LASEROWE I KOSMETYCZNE

Zabiegi Hifu, Radiofrekwencja igłowa, Mezoterapia mikroigłowa, Cellushape - modelowanie sylwetki, redukcja tłuszczu, cellulitu, Fotoodmładzanie IPL, Usuwanie tatuaży laserem ND YAG, Laserowe usuwanie owłosienia.



0762284313

lasergramclinic\_solna

lasergram@gmail.com

Kolonnvägen 70 170 67 solna

Laser Glam  
—CLINIC—

### :DR. DENTAL

TWÓJ ZDROWY UŚMIECH TO NASZA PASJA!

Nasz doświadczony zespół lekarzy dentystów oferuje kompleksową opiekę stomatologiczną, w tym zabiegi estetyczne, leczenie kanałowe, implanty i wiele więcej.

ZADZWOŃ I UMÓW SIĘ JUŻ TERAZ!

010-585 22 30

info@drdental.se

www.drdental.se

Klinika mieści się 50 m od stacji pendeltåg i metra Odenplan.





# Zapiski cd.

Nie chciałbym żyć w jakimkolwiek okresie z przeszłości. Może za wyjątkiem starożytnej Grecji, a i to bez szału. Jeszcze w XVIII można było zostać wychłostanym / wygnanym / powieszonym za poglądy. Poza tym jedzenie było fatalne, napitki obrzydliwe, ubrania szorstkie, w domu zimno i brudno, człowiek był nieustannie narażony na przemoc i samowolę rządzących. Nienawidzę myśli o ludziach przekonanych, że mają prawo mieć nade mną władzę.

Inaczej mówiąc, przyrzekłem mojemu Bogu, że gdy tylko nadarzy się okazja wyjadę, opuszczę świat zdeprawowanej komunizmem polskiej biedy. Słowa dotrzymałem. W ubiegłym roku minęło pięćdziesiąt lat jak opuściłem Polskę Ludową towarzysza Gierka i rozpocząłem naukę, jak żyć w zachodnim świecie. Nie będę się rozwodził nad meandrami nauki, ale przypomniał mi się heroiczny – choć bezowocny – wysiłek, wkładany w naukę przez Andrzeja- ja-się-ciągłe-uczę-Dudę.

Pisząc o przodkach dobrze jednak pamiętać, że ludzie z przeszłości nie wiedzieli, jak bardzo było im źle. W tym sensie nam jest ciężiej – my wiemy, że życie może być znacznie lepsze. Przodkowie nie mieli lekko, ale chyba byli w swoim życiu szczęśliwsi, niż my w naszym.

Nie przeżyłem tego osobiście, ale wiem, co się działo w Polsce w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, to znaczy po upadku komunizmu. Końcówka tysiąclecia i pierwsze dziesięć lat XXI wieku było czasem optymizmu i rosnącego dobrostanu obywateli. Rozpalały się, co prawda, tu czy tam małe wojny, ale ogólnie wydawało się, że panuje pokój i spokój i że tak już musi być. Polacy, doświadczani regularnie przez historię zapomnieliśmy, że dobre czasy nie trwają wiecznie, czego boleśnie przypomnieliśmy ostatnie osiem lat.

Wyznam ze wstydem, że nie przewidziałem – choć znam komunizm z autopsji – wojny na Ukrainie. Niebezpieczeństwo ze strony Rosji wydawało się równie nierealne, jak zbrojny konflikt z Chinami. Myliłem się. Nie doceniłem mrocznego umysłu Putina. Jestem optymistą i pozostaję nim pomimo porażek, ale czuję czający się za moskiewskim rogiem niepokój.

Niewiele żyje osób pamiętających (ja pamiętam) wojnę i powojnie, dlatego ludzie stali się beztroscy. Od zakończenia II Wojny Światowej minęły trzy pokolenia, które nie mają zielonego pojęcia jak cenne są pokój i wolność. To czyni ich lekkomyślnymi i owocuje między innymi błędnym wyborem ludzi na eksponowane stanowiska. Wolność trzeba chronić i stać o nią walczyć, a do tego niezbędni są ludzie wartościowi.

Wolność jest w gruncie rzeczy anomalią. W całej historii cywilizacji zdecydowana większość populacji żyła pod jakiegoś rodzaju tyranią. Bez prawa głosu i z nielicznymi – jeśli w ogóle jakimiś, prawami. Czy w dzisiejszym świecie ludzie wolni stanowią większość? Nie stanowią, a ci którzy mają władzę dobrowolnie z niej nie zrezygnują. Jestem niepoprawnym optymistą, ponieważ wierzę, że pomimo iż wojny będą trwać, wolno i stopniowo, ale jednak, będą eliminowane z krajobrazu człowieka.

Na Ukrainę mam dwie opcje: Putin zostaje obalony lub zlikwidowany i druga: Ukraina zostaje zmuszona do ugody i Rosja zachowuje część wschodnich ziem oraz Krym. Happy endem jest, że Putin zostaje zmuszony do zaakceptowania, iż Ukraina (okrojona niestety), jest niepodległym i suwerennym krajem.

Wracając do ad remów. Czego oczekuję od życia? Niczego specjalnego. Jestem w miarę zdrowy i robię to, co zawsze pragnąłem robić - piszę. W młodości byłem wiecznie skłócony ze światem i samym sobą, ale mi przeszło z wiekiem, tak jak i spora część optymizmu. Andrzej Poniedziałki na ten temat mówi tak:

Optymista twierdzi, że świat stoi przed nim otworem. Pesymista wie dokładnie, który to otwór.

Dowcipkowanie nie znajduje się na czołowych pozycjach w podręcznikach rekomendujących techniki terapeutyczne. Ale humor, owszem, tak, ponieważ jest nosicielem dystansu do... Do wszystkiego, również do siebie samego i tu notujemy zauważalny deficyt, mam na myśli prezydenta Rzeczypospolitej i jego miny.

To jest, nie waham się użyć tego słowa, przerażające, w zestawieniu z zajmowanym stanowiskiem, że ciągle robi różne miny, śmieszne, dziwne i stale przeszarżowane.

Czemu on tak robi? Bądźmy ludzcy i pożałujmy człowieka. Musi podpisywać setki arcyważnych dokumentów i mogło go to początkowo bawić. Ale z czasem przyszło znużenie, więc sięgnął do arsenału środków aktorskich. Jestem przekonany, że na wzór – podobieństwo rzuca się w oczy – Mussoliniego czy Trumpa, ćwiczy miny przed lustrem. Im mniej jesteś prezydentem, tym bardziej musisz go grać! Gdy stajesz się więźniem marionetkowej roli, nie masz innego wyjścia, jak próbować przekonać o tym otoczenia: — Ja się ciągle uczę! Trzeba być twardym!

Ktoś powie, mógłby skromniej tworzyć postać. Bez śmiesznych min, bez wymachiwania palcem, zaciskania ust i szcęk, wytrzeszczania oczu, bez groteskowej tubalności głosu. Może boją się mu w Kancelarii powiedzieć, że wrzask jest oznaką słabości? Być może w tym miejscu jest pogrzebany przysłowiowy pies – bohaterowi spektaklu nie zgadza się kontekst, miny i gesty zawisły w próżni. Andrzejowi Dudzie ktoś ukradł dekorację!

Andrzej Szmilichowski



## Przygody – epizody

Wspaniale opisane, w bardzo ładnym polskim języku, życie młodego człowieka z Podhala i jego zdobywanie świata. Wyjazd z Polski i dość miękkie lądowanie na Zachodzie. Wzloty i upadki! Przygody, dziwne i dramatyczne zdarzenia prawie we wszystkich częściach świata! Praca, praca i przygody ciekawego życia artysty malarza. Niewymowna tęsknota za rodzicami i rodzinną wsią, przyjaciółmi, kościołem i znajomym księdzem. To tylko część epizodów i przygód, z życia artysty malarza Mieszko Tyszkiewicza, w jego premierowej książce pt: „MIESZKO – Sceny z życia nieznanego malarza” (tytuł roboczy).

Opuścił Polskę by szukać *da Vinci ducha!* Zdobywać ostrogi i zaistnieć jako artysta! Z nienasyconą ciekawością do nowego świata, nabierał mnóstwo przygód. Obiecał sobie pootwierać bramy – sezamy wytrychem, pędzlem, ołówkiem i węglem. Na ulicach, bazarach w hotelach czy na statkach pasażerskich, sprzedawał to co umiał i kochał najbardziej! Malował portrety, karykatury, krótkie szkice zaułków, ulic i ludzi!

Mieszko robił wszystko, by bronić się przed zniewoleniem pracy za biurkiem, sprzątnięciem czy przerzucaniem szuflą z pustego do pełnej! Początkowe emigracyjne rozterki, to pierwsza i dramatyczna tęsknota za rodzicami, za kochaną, rodzinną miejscowością! Ale postawił na jedną kartę i wygrał... Ale czy aby na pewno? Los plata figle. Autor sam zadaje sobie dużo pytań, na które nie łatwo odpowiedzieć, być może bojąc się konsekwencji z oczekiwanej odpowiedzi. Dramatycznych chwil w jego życiu, też nie było mało. W jednym z opisów o ciężkiej chorobie jego córki i walce o jej przeżycie, powątpiewa w pomoc z nieba. Razem z żoną przechodzą gehenną ratując kochaną córkę. Królestwo Szwecji wysłała córkę do Belgii na specjalne leczenie. Mieszko, jak sam opowiada, odzyskał wiarę, ale nie do końca. Gorzkie doświadczenia. Ale Artysta jest optymistą, wielkim optymistą i entuzjastą wolnego życia. To człowiek renesansu, umie powiązać swoje artystyczne credo z szerokim, socjalnym życiem. Swego rodzaju fri herre! Szybko

odnalazł się na ulicach Europy malując portrety, odnawiając zabytki! Życie niełatwe, ale jednocześnie bogate finansowo! Ludzie kochają portrety i karykatury a w tych Mieszko jest mistrzem! Z kieszeniami wypchanymi „dulkami” wędruje po świecie, gdzie każdy dzień i godzina to można rzec nowa przygoda! Nie zawsze przyjemna w zakończeniu, ale Mieszko jest mocno pozytywnie nastawiony do świata i do otaczających go ludzi. Poprzez swoją pracę i przyjemny, przyjazny stosunek do bliźnich, wzbudza zaufanie. Wszędzie gdzie ląduje, chce budować swoje życie od nowa z różnymi towarzyszami życia. Ostatnią częścią jego zamierzeń prawie udanych, było gniazdko na Gran Canaria... niestety, Mieszko jak Kolumb, musi dać satysfakcję swojej ciekawości. To toruje mu drogę i możliwości do szerszej ekspansji świata. Czytając Jego opowiadanie – zyciorys albo raport jego życia, odnosi się wrażenie że baron Munhausen, mógłby mu pozazdrościć przygód z kobietami i Mieszka wojaży! Od Stanów Zjednoczonych przez Grecję, Hiszpanię, Portugalię, Anglię by wreszcie zakotwiczyć, zresztą ku swemu niezbyt wielkiemu zadowoleniu w Królestwie Szwecji.

„Każdy ma jednak swoją własną interpretację rzeczywistości i moja była taka, że Kościół i religia zakazują kilku kluczowych dla życia rzeczy, bez których kontynuacja życia jest niemożliwa a co najmniej niezwykle trudna i sam Bóg nie popiera tego, co mówi Kościół, bo Bóg to miłość i życie a nie zakazy i kary. To tak, jakby zakazać wodzie być wodą, albo kurze być kurą, albo kazać rybie być skalą. Pewnie technicznie można, ale po co?”

„Jednak rzuciłem się odważnie w tą rzeczywistość którą proponował Kościół, nie wierząc w nią nawet do końca, będąc świadomym, że jest to albo infantylne i prymitywne albo Kościół zataja większość wiedzy. Miałem kilku kolegów księży albo takich, którzy w popłochu uciekli z tej organizacji kiedy zobaczyli ją od podszewki, co dopiero teraz niesmiało pokazują



© Archiwum NGP



filmy takie jak "Kler" i jest to niewiele, co pokazują. Jednak nie wiadomo dlaczego postanowiliśmy to wykonać w praktyce. Dla eksperymentu? Zawsze wszystko było dla mnie w życiu dziecinnie proste i te zdawałoby się trudne rzeczy też poszły mi jak z płatka. Jednak wiedziałem, że prowadzą do mojego upadku i do upadku całego świata, jeśli wszyscy by się do nich jednomyślnie zastosowali... „

„Po kilku latach podróże się zakończyły dość tragicznie w Sztokholmie. Wpadliśmy tu prosto na mieliznę. Nigdy nie chcieliśmy tu zostać dłużej niż dwa tygodnie. Zostaliśmy zaproszeni w końcu na połowy lososia przez Stefana i Darię do ich willi. Pierwsza noc przeżyliśmy jak jeden z największych koszmarów życia, bo w piwnicy w Sundbyberg tuż koło lotniska Bromma czuliśmy w absolutnej ciemności, że nigdy nie powinniśmy tu przyjechać. Trzęśliśmy się z zimna po 6 miesięcznym pobycie na Gran Canaria. Byliśmy jak ryby wyciągnięte z wody na rzeź. Stawaliśmy się coraz bardziej bezbronni w miarę jak ubywało pieniędzy. Wszystko było szare i brzydkie. Ludzie wyglądali jak ze średniowiecza i byli zimni i niekontaktowi. Architektura była brzydka, brudna i przypominała tę prymitywną z czasów PRLu. Deptaki nie były z malowanej eleganckiej, czystej ceramiki, jak w Hiszpanii tylko z betonowych popękanych kwadratowych tępych, matowych porowatych płytek. Masakra! Cała radość życia została na naszej rajskiej wyspie w kontenerze, gdzie musieliśmy wyrzucić prawie wszystkie rzeczy przed lotem samolotem Lufthansy. Szczegółowo wielu zdarzeń znajdują się pewnie w innych rozdziałach ale tu kontynuuję spowiedź.”

„Objechaliśmy razem całą Europę, uciekając przed skazaniem spowodowanym wybuchem elektrowni w Czarnobylu, szukając najdalszego miejsca do założenia nowego domu. Taki był cel podróży. Wszystko było łatwo finansowane przede mną poprzez malowanie portretów na ulicach wielu miast. Było naprawdę wspaniale i ciekawie, ale ten ideał tracił bardzo dużo właśnie przez brak seksu, który jest naturalną formą podkreślenia, że coś nam się bardzo podoba. Po czwartym roku życia, kiedy moja nianka nauczyła mnie podstaw seksu, absolutnie nie kojarzyłem go z dziewczynami, z płodzeniem dzieci i tym z czym kojarzy się dorosłym. Był dla mnie porostu wyrazem największej radości. A tu z moją dziewczyną było tyle powodów do takich reakcji i zawsze kiedy to powinno nastąpić, to nagle włączał się smutny religijny tekst...”

Mieszko malował i wystawiał, był i jest czynnym artystą. Sprawy pracy, zamieszkania i dramt z chorobą córeczki autora, coraz bardziej ciążył na jego socjalnym i zawodowym życiu. By zyskać jakiś psychiczny balans, siadł do maszyny i zaczął pisać o sobie i swoim życiu.

Zaczął pisać bardzo wcześnie, przerywał, wracał pamięcią i wreszcie... ushhh najważniejsze skończył! Książka jest już prawie gotowa do druku. Chcę podkreślić, że pisana jest pięknym polskim językiem. Kiedyś przy winie, Mieszko powiedział do mnie: „Wiesz Ted, ja pisałem to na raty... ja to musiałem napisać! Dla mojej córki, dla moich rodziców! Ale nieraz, jak niebo było niebieskie i bezchmurne, wiesz Ted, takie zakopiańskie, roziskrzane, to nie mogłem się powstrzymać! Ted, wtedy łzy spływały mi z oczu jak woda w Starym Bystrym...”

Czy Mieszko znalazł swoje „złote runo” swoją „ostoję – arkę”... *da Vinci expiravit*? Dowiem się w niedługim czasie, czytając niezwykle ciekawy i fascynujący, bogaty w przygody życiorys – raport, o życiu artysty malarza Mieszko Tyszkiewicza, który żyje wśród nas i jest zawsze dla nas na wyciągnięcie ręki.

TedTrela

# Emigracja

Znów piosenka jest wszystkimu winna. Sprowokowała mnie i zachęciła do napisania tego felietonu. Zaśpiewał ją mój przyjaciel Maciej Wróblewski, bard z Zielonej Góry, o wspaniałym głosie. Piosenka opowiada o emigracji. Maciek zna temat doskonale. Śpiewał chyba dla wszystkich Polaków rozsianych po całym świecie. Rozgrzewał serca tych stęsknionych za Ojczyzną Emigrantów. „Emigracja, emigracja, śniadanie w Warszawie, w Chicago kolacja”. Słowa realne i zachęcające, ale czy zawsze to przedsięwzięcie jest takie łatwe?

Polonia i Polacy za granicą znaleźli się na szóstym miejscu w świecie pod względem liczebności emigracji (w stosunku do ludności kraju). Poza terytorium Polski mieszka ponad 21 milionów Polaków i osób pochodzenia polskiego. Co to jest Polonia?

Niektórzy różnie to interpretują, ale – mówiąc krótko – Polonia to osoby poczuwające się do polskiego pochodzenia i związków z polską kulturą, tradycjami, a głównie z językiem (choć nie zawsze). Przeważnie są drugim, a nawet dalszym pokoleniem. Polonią określa się polskie społeczności w Ameryce, Kanadzie, Brazylii, Francji, Niemczech i wielu innych krajach. Dominują tam osoby, których przodkowie wiele lat wcześniej opuścili Polskę.

Polonia to jednak nie to samo co mniejszości narodowe i nie powinno się tego łączyć. Polonia to polscy emigranci i ich potomkowie. Bo przecież nie można nazwać emigrantami tych, którzy znaleźli się poza granicami Ojczyzny na przykład w związku z przesunięciem granic po II Wojnie Światowej. Ludzie ci nigdy nie wyjechali z Polski, lecz – niezależnie od własnej woli – zostali wcieleni, i jakby przesunięci wraz z granicą, do innego kraju. To przesiedleńcy, którzy zawsze uważali się – i w dalszym ciągu uważają – za Polaków i są wspaniałymi patriotami. Nigdy nie nazywają się Polonią.

Jak liczna jest Polonia na świecie trudno jest dokładnie określić ze względu na różne kryteria ich rejestracji. Niektórzy liczą tych urodzonych w Polsce, pochodzenie wieloetniczne, deklarowaną świadomość pochodzenia, czy też znajomość i posługiwanie się językiem polskim. Niektóre państwa stosują spis ludności zaznaczając polskie pochodzenie. Z cała pewnością można jednak powiedzieć, że poza Polską żyje od 20 do 22 milionów Polaków i osób polskiego pochodzenia. Około 30% tej grupy to Polacy urodzeni w Polsce. Reszta to osoby pochodzenia polskiego, powiązane w jakiś sposób z Polską.

Nie należy dodawać do grupy emigrantów tych, którzy w latach 2004-2023 opuścili Polskę na parę miesięcy lub nawet dłużej. Bo nie można przecież nazywać emigrantami tych, którzy przebywają czasowo poza Polską, ale nie uregulowali swojego statusu w kraju urodzenia. Najczęściej na stałe wyjeżdżają osoby młode w wieku 30 do 35 lat. Na początku, po otwarciu granic z krajami Unii Europejskiej, przeważali jeszcze młodszy: między 20 a 30 rokiem życia. A więc ludzie często wykształceni, gotowi do pracy, po szkole zawodowej, jak również z dyplomami szkół wyższych.

Dokładną rejestrację utrudnia fakt, że duża część Polaków posiada podwójne obywatelstwo. Wobec czego osoba, która ma obywatelstwo polskie i kraju w którym przebywa na stałe, nie jest traktowana jako obywatel polski.

Należy dokładnie rozważyć skąd się wzięły tak liczne przypadki emigracji. Polska to niespokojna historia, niepewność polityczna. A lawinowo zwiększająca się bieda i pogarszający się standard życia doprowadził do tego, że Polscy zajmują czołowe miejsce wśród emigrantów z krajów rozwijających się. Emigracja ekonomiczna była istotną falą w tym procesie. Kraje szybko rozwijające się i rewolucja przemysłowa wręcz zapraszała do emigrowania. Najlepszym przykładem były Stany Zjednoczone, które z powodu braku rąk do pracy, przyjmowały każdego.

Dla mojego pokolenia bardziej istotna jest ta emigracja z czasów PRL-u. Czasy te znam dość dobrze i w moim gronie znajomych poruszaliśmy czasami ten temat. Polska Rzeczpospolita Ludowa była państwem dość szczelnie zamkniętym, a otrzymanie paszportu było bardzo trudne. Czasami wręcz niemożliwe. Była grupa ludzi w Polsce, których rząd PRL-u wręcz starał się pozbyć, w obawie buntów, organizacji strajków, czy zamieszek antyrządowych.

Z czasem uchodźstwo przybierało bardzo wolno charakter ekonomiczny. Rządy Polski i RFN (Republika Federalna Niemiec) zawarły porozumienie dotyczące tzw. „łączenia rodzin”. Dano szanse i umożliwiono wyjazd z Polski Niemcom, którzy znajdowali się wtedy na terytorium Polski. Z tej szansy skorzystali również Polacy mający rodziny po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”. Była to wielka szansa i pretekst do legalnego opuszczenia kraju. W grupie tej znaleźli się głównie mieszkańcy Śląska i Pomorza.

Na skutek antysemitkich represji w czasach Gomółki, po 1968 roku wręcz zmuszono 13 tysięcy polskich Żydów do opuszczenia kraju. Wyjeżdżający w tym czasie pozbawiani byli obywatelstwa polskiego. Decyzja ta była niewybaczalna i wręcz podła. Kraj opuścili wtedy polscy intelektualiści, najzdolniejsi i najlepiej wykształceni obywatele, o których wręcz walczyły kraje zachodnie. Szybko te nazwiska ukazywały się na pierwszych stronach specjalistycznych gazet.

Wybitnie polityczne podłoże miała następna, niewyobrażalna w normalnych krajach zachodnich, emigracja tak zwana „solidarnościowa”. Była ona następstwem represji i wręcz prześladowań, a nawet w niektórych przypadkach morderstw politycznych (przypomnę księdza Jerzego Popiełuszkę). Najbardziej ucierpiała opozycja demokratyczna, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego. Żwaliśmy więźniów politycznych z tak zwanych ośrodków internowania w zamian za zdeklarowanie się do opuszczenia kraju. Ci co odmówili, lub nie byli zdecydowani, byli szantażowani. Nie omijało to również ich najbliższych rodzin. Po tych „pertraktacjach” wszyscy otrzymywali bilet w jedną stronę.

Statystyki późniejszej, już wolnej Polski, podawały, że Polska na stałe straciła ponad milion cennych obywateli. W tej grupie było 10 tysięcy najprawdziwszych emigrantów politycznych wraz z rodzinami. Ale tendencja osłabiania Polski przez wyrzucanie z kraju obywateli, w dalszym ciągu była narzędziem dyktatury komunistycznej. Niczego nie nauczono się z lat poprzednich.

Już w roku 2004 roku, po otwarciu granic i rynków pracy we Wspólnocie Europejskiej – z początku powoli i niepewnie – Polacy zaczęli znowu masowo emigrować. Pierwszy rok to 750 tysięcy, a rok później 1 milion 170 tysięcy. Z każdym rokiem liczby te wzrastały. Z początku myślnie, że obywatele Polscy wyjadą, zarobią i powrócą z pieniędzmi. Mechanizm rozwoju kraju się załamał. Należy pomyśleć ile kosztowało wykształcenie każdego, zdolnego do pracy obywatela. Tylko mały procent tych zarobkowych emigrantów powrócił do Polski. Bo, po prostu, im się nie udało.

W dalszym ciągu emigrują ludzie młodzi, zdolni i wykształceni zawodowo. Straciliśmy wielką szansę. Czy mogliśmy zatrzymać tę lawinę emigracyjną? Na pewno tak. Ale... nie siłą. Jak starożytni Grecy mawiali, że potrzebują winy i chleba, tak Polacy potrzebowali stabilności, poprawy ekonomii, lepszych zarobków i „zielonego światła w tunelu”. A tego właśnie w Polsce zabrakło.

Wielu, z powodu braku nadziei, podjęło decyzję emigracji „na zawsze”. A Polska mogła stać się światowym liderem, może nie drugą Japonią, ale Polską siłą, nowoczesną, z wielkimi perspektywami na przyszłość. Bo to kraj w środku Europy, który mógł liczyć szacunkowo na 60 milionów zdolnych i pracowitych obywateli. To już nie bagatela – to potężna siła i potencjał.

Pomyślmy, dlaczego Ameryka, Szwecja, Francja, czy Niemcy są tak bogatymi narodami? Bo mają wszystko to, co Polska oddała, a nawet wyrzuciła. A czego dzisiaj brakuje Polsce? Właśnie ludzi wykształconych, fachowej siły roboczej i tego... „zielonego światła w tunelu”.

Marek Lewandowski



# Wrocław

W 1964 roku brałam udział w badaniach poświęconych adaptacji repatriantów z rejonu lwowskiego. Po dwóch tygodniach byliśmy już zmęczeni. Zbliżał się czas powrotu do domu. Przez przedostatni tydzień jeździliśmy zgodnie z planem. Profesor ani słowem nie wspomniał, że jest obrażony, czy ma uwagi do naszej grupy. Tymczasem podczas ostatnich dni bazowych nagle zakomunikował, że wysyła nas do Wrocławia. Tę zmianę można było optymistycznie odczytać, jako nagrodę, lub jako karę. Raczej to ostatnie, ponieważ pamiętliwy szef nie podał nam żadnych informacji, takich jak na przykład nazwisk osób, z którymi mielibyśmy przeprowadzać interwiew. Ba, nie powiedział, o jaką grupę społeczną mu chodzi. Mieliśmy działać – jak z przekąsem oświadczył – „sposobem Anki” – czyli mnie. To była aluzja do badań w Bystrzycy, gdzie informatorów miałam „z ulicy”.

Wieczorem spotkaliśmy się całą grupą, by ustalić plan działania. Jacek był spóźniony – jak nam powiedział – „poszedł podpytać Starego, ale nic nie wskórał”. Siedzieliśmy w gabinecie dyrektorki szkoły w Kłodzku i próbowaliśmy rozwiązać zagadkę tej nagłej zmiany. Wrocław to duża aglomeracja. Przyjechało tu z całych Kresów masa ludzi różnej profesji – od inteligencji lwowskiej, czy wileńskiej, po rzemieślników, a nawet i chłopów. Wiedzieliśmy, że prowadzi tu badania „nyska numer 1” (głównie badając problemy ludzi pochodzących z Wileńszczyzny), dlatego decyzja profesora o dołączeniu naszego zespołu, i w dodatku bez określenia zakresu badań, była dla nas niezrozumiała. Po powrocie Jacek powiedział, że Stary nie był rozmowny, ale on wywnioskował, że chyba miał na myśli „przesiedleńców” uczelni lwowskich i jak naukowcy przystosowali się do nowych warunków życia. Zgodnie przyjęliśmy tę linię. Maciek powiedział, że zna rektora Uniwersytetu Wrocławskiego i spróbuje od niego czegoś się dowiedzieć. Na szczęście miał w notesie jego numer telefonu. Wyszedł i po kilkunastu minutach wrócił z niewyraźną miną.

– Rektor jest na urlopie, zapomniałem, że to przecież przerwa wakacyjna...

– Ja mam we Wrocławiu rodzinę – odezwała się nieśmiało. – Są to byli pracownicy naukowcy politechniki lwowskiej.

Jacek i Maciek popatrzyli na mnie jak na zbawienie.

– Pracują na wrocławskich uczelniach?

– Moja ciocia Zosia Skrowaczewska w latach 1955-1959 była prodziekanem na politechnice wrocławskiej wydziału Inżynierii Sanitarnej, zwanego „sanitarka” i Wydziału Chemicznego. Przybyła do Wrocławia już w czerwcu 1945 roku i teraz jest doktorem chemii. To cioteczna siostra mego ojca. Tata utrzymuje z nią kontakty – uzupełniłam.

– Mogłabyś się z nią skontaktować?

– Niestety nie mam jej numeru telefonu, ale ojciec na pewno ma.

– Dzwonię więc do ojca i poproszę, żeby podał nam jej numer. Mam nadzieję, że ją zastaniemy – Jacek wyraźnie ucieszył się.

Zadzwoiłam z telefonu dyrektora szkoły, w której mieliśmy bazę. Tym razem połączono mnie prawie natychmiast, mimo, że to była przecież rozmowa zamiejscowa. Po kilku sygnałach usłyszałam głos taty.

– Halo...

– Tatusiu, to Ania. Czy mógłby tata podać mi numer telefonu do cioci Zosi Skrowaczewskiej? – powiedziałam bez formulek wstępnych.

– Po co? – zapytał zaskoczony.

– Jestem we Wrocławiu. Prowadzimy badania na temat adaptacji ludności przesiedlonej z Kresów na Ziemię Odzyskane i kierownictwo badań chce przeprowadzić wywiad z ciocią Zosią na temat początków uczelni we Wrocławiu.

– Nie podam numeru telefonu bez uzgodnienia tego z Zosią – odpowiedział krótko.

– Tatusiu, proszę – nalegałam. – Mogłabym zadzwonić na uczelnię i tam na pewno dostałabym numer, ale dzisiaj jest niedziela. Proszę o numer telefonu domowego. Nie będę mówić, że dostałam go od taty. Jeśli ciocia nie będzie chciała udzielić wywiadu, to trudno, ale mam przecucie, że się zgodzi. To między innymi ona tworzyła podwaliny Politechniki Wrocławskiej.

– Ty, z twoimi przecuciami... Dobrze, ale pamiętaj, numer masz nie ode mnie. Masz coś do pisania?

– Mam. Obiecuję, że nie zdradzę tajemnicy skąd dostałam jej numer.

Zapisałam i po zakończeniu rozmowy z miejsca zadzwoniłam. Ciocia podniosła słuchawkę. Przedstawiłam się i powiedziałam, że jestem córką jej ciotecznego brata.

– Ależ Aniu, ja cię pamiętam. Byłaś u nas we Wrocławiu z Basią, moją chrześniaczką. W którym to

mogło być roku? Chyba z pięć lat temu... Prawda? Co cię sprowadza?

Po krótko wyjaśniłam jej cel naszych badań i prosiłam o pomoc. Zgodziła się od razu. Umówiliśmy się na poniedziałek o godzinie jedenastej w gmachu Wydziału Chemii, przy ulicy Norwida.

– To niedaleko od Placu Grunwaldzkiego. Taki piękny budynek nad Odrą. Czekam – dodała i odłożyła słuchawkę.

Przyjechaliśmy z Kłodzka najwcześniejszym pociągiem, po to, by, choć trochę zwiedzić Wrocław, a przynajmniej okolice Tumu i placu Grunwaldzkiego. Maciek był naszym przewodnikiem, okazało się, że studiował na wrocławskim uniwersytecie, choć nie powiedział nam tego od razu.

Pamiętałam zniszczony Wrocław, noszący niezabliźnione rany zadane podczas obrony twierdzy Breslau. Przez te pięć lat zmienił się nie do poznania.

Punkt o godzinie jedenastej zgłosiliśmy się na portierni. Wozy był uprzedzony. Ciocia Zosia czekała na nas w swoim gabinecie. (Też się zmieniła, powiedziałabym, że wypiękniała. Miała drobną, delikatną sylwetkę, blond włosy i niebieskie oczy).

Przedstawiłam jej Jacka – naszego szefa, a on pozostałych uczestników badań. To nie był typowy wywiad (nie mieliśmy przygotowanego specjalnego kwestionariusza). Raczej pogawędka, choć nagrywana za zgodą cioci.

– Nie wiem, czy odpowiem wam na pytanie jak Kresowiaci przystosowali się do nowych warunków. To zagadnienie można potraktować wielokierunkowo. Ja, na moim przykładzie, mogę jedynie mówić o kadrze naukowców pochodzących ze Lwowa, którzy tworzyli uczelnię Wrocławia.

– O to nam właśnie chodzi – Jacek spojrzał na nią poważnie i akceptująco.

– Najpierw parę słów o sobie. Urodziłam się w Kamionce Strumiłowej w rodzinie urzędniczej. Ania pewnie wie, że mój ojciec był plenipotentem majątku, ale po wojnie nie było bezpiecznie o tym mówić. Szkołę ukończyłam we Lwowie, a później studiowałam na Wydziale Chemicznym Politechniki Lwowskiej. Po ukończeniu studiów zostałam asystentem na uczelni. W 1941 roku na nasze tereny weszli Niemcy. Podczas wojny pracowałam w ruchu oporu w sekcji tajnego nauczania. W 1944 roku Lwów ponownie został zajęty przez Sowieców. Wielu ludzi sądziło, że to tylko chwilowe, Lwów będzie znowu Polski. Sprawa jednak została przesądzona na konferencji w Jalcie. Dla kadry uczelni lwowskich było jasne, że nie odzyskamy miasta. Teraz najpilniejszą sprawą stała się możliwość przeniesienia całego lwowskiego ośrodka akademickiego do innej siedziby w granicach powojennej Polski. Trwały negocjacje z sowietami. Oczywiście, Ruscy najchętniej zatrzymaliby uczelnię w zdobytym Lwowie, ale przedstawiciele polskiego rządu postawili jasne warunki. Początkowo miastem, miejscem, do którego przeniesie się kadrę, bibliotekę, pomoce naukowe itp. miał być Kraków.

– A środowisko krakowskie bało się konkurencji, prawda?

Jacek (pracownik naukowy warszawskiego uniwersytetu) nie wytrzymał. Wiedzieliśmy, że „centuś” – jak mawiał – nie bardzo kochał. Wzbudził tym stwierdzeniem uśmiech na twarzy cioci.

– Z ust mi to pan wyjął. Wtedy zaproponowano Wrocław, miasto, w którym jeszcze trwały walki. W trzy dni po kapitulacji Festung Breslau, 20 kwietnia 1945 roku, gdy trwała jeszcze wojna, ówczesny Minister Oświaty przy rządzie lubelskim – Bolesław Drobner oficjalnie mianował profesora Stanisława Kulczyńskiego (byłego rektora lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza) delegatem Rządu Rzeczpospolitej do zabezpieczenia ponemieckiego majątku i urzędów wyższych uczelni oraz innych instytucji naukowych, bibliotek, zbiorów i tym podobne – na terenie Wrocławia i okolic i przygotowania gruntu do przeprowadzki lwowskich uczelni. Miał też zapewnić kadrze mieszkania. Do Wrocławia przybyłam z tak zwaną Grupą Kulturalno-Oświatową pierwszego maja 1945 roku.

– Przepraszam, co to było? – zapytałam.

– To była grupa fanatyków odbudowy Polski powołana przy Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej. Chciałabym uprzedzić pytania i od razu powiem: grupa ta nie była powołana przy rządzie londyńskim, ale przy Resorcie Oświaty PKWN. Rozumiecie, że sprawa przeniesienia uczelni lwowskich była zależna od przemian politycznych i ustaleń wielkich mocarstw, a lubelski rząd miał duży udział w pertraktacjach z Sowietami.

– Rozumiemy – skwitował to Jacek.

– Zastaliśmy na miejscu płonące jeszcze budynki, opuszczone domy, rzesze bezradnych repatriantów







szukających miejsca do osiedlenia się i szabrowników wywozających do centralnej Polski wszystko, co wpadło w ich ręce. Na uczelnie otrzymaliśmy kompleks przepięknych budynków niemieckiego uniwersytetu zwanego Leopoldina. Były prawie niezniszczone. Teraz trzeba było rozplanować całą logistykę związaną z przeprowadzką ze Lwowa. Drugą, nie mniej ważną sprawą, było zapewnienie ochrony wrocławskiego kompleksu uczelnianego przed... – zawahała się na chwilę, ale po chwili podjęła opowieść.

– Największym zagrożeniem dla zachowanych zbiorów byli... radzieccy żołnierze. Traktowali wszystko, jako zdobycz wojenną. Oni nie kradli, tylko brali to, co ich zdaniem, się im należało za oswobodzenie miasta. Pewna koleżanka pracująca przy organizowaniu oddziału weterynaryjnego opowiadała mi, jak bezskutecznie musiała przed żołnierzami radzieckimi bronić magazyn owsa przy Klinice Dużych Zwierząt. Przyjechali wozami konnymi, żeby zarekwirować ten owies. Jej protesty i tłumaczenia, że w klinice znajdują się chore konie, które, by wyzdrowieć, potrzebują pełnowartościowej (poniemieckiej) paszy, były oczywiście bezskuteczne. Załadowano na wozy cały zapas owsa! Tragikomiczna i równie bezowocowa była też obrona kolekcji biologicznych preparatów konserwowanych w alkoholu. Żołnierze wypijali ten spirytus... Nie tylko przed rosyjską armią musieliśmy się bronić. Toczyliśmy walki o zachowanie budynków uniwersyteckich też i przed Polakami, którzy „rozbierali” Wrocław.

– Nie rozumiem – spytał Maciek.

– Polski rząd postanowił, że należy Warszawę – stolicę Polski wskrzześć z popiołów. Do odbudowy potrzebna była cegła. Dużo cegły. Dostarczyć jej mogły miasta z Ziemi Odzyskanych. Powojenny, mocno zniszczony Wrocław posłużył niemalże jako magazyn cegieł dla odbudowującej się Warszawy. Szacuje się, że około 90 procent cegieł rozbiórkowych, z mniej lub bardziej zniszczonych budynków Wrocławia, wyjechało pociągami do stolicy! Rozbierano Wrocław cegła po cegle, by odbudować Warszawę.

Mogłabym przytoczyć wiele innych przykładów, ale wracamy do spraw samej organizacji uczelni. W sierpniu pod naszym nadzorem znalazło się około 80 budynków. W tym czasie jeszcze nie wyodrębniano poszczególnych uczelni. Dwie największe i wielowydziałowe rozpoczęły działalność pod jedną nazwą „Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu”.

– Była Pani w „oku cyklonu polityki”, jak to pani odbierała? – zapytał Antek, nasz psycholog.

– Państwo wybaczą, że nie odpowiem na to pytanie. Tak, jak wszyscy i ja miałam swoje rozterki, ale nie było czasu na roztrząsanie tego problemu. My chcieliśmy działać. Razem z młodą kadrą naukową tworzyliśmy wrocławski uniwersytet (byłam wtedy tylko magistrem). Nadal brakowało oficjalnego dokumentu potwierdzającego utworzenie uniwersytetu we Wrocławiu, ale my dążyliśmy do tego, by już jesienią 1945 roku móc rozpocząć nabór studentów. Udało się! Inaugurując rok akademicki, rektor profesor Jan Kulczyński stwierdził: „Jesteśmy nie tylko materialnymi spadkobiercami ruin niemieckiego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, ale i duchowymi spadkobiercami kresowej kultury lwowskiej”.

Te słowa zapamiętałam na zawsze. Nasza uczelnia była kontynuacją tego, nad czym pracowaliśmy we Lwowie. Nie rozdzielaliśmy szat, jak to robili starsi profesorowie, przeszłość, choć piękna, została za nami, a my teraz tworzyliśmy nowy, polski Wrocław!

– Jak przebiegała pani kariera naukowa?

– Nikt nie zwolnił mnie z funkcji organizatora i

opiekuna obiektów, ale równolegle prowadziłam zajęcia ze studentami. Od października 1945 roku objęłam stanowisko adiunkta w Katedrze Chemii Organicznej.

– To tam, gdzie pracował wuj ze strony mojej matki. Mąż mojej ciotki Jadzi Wondraushowej – wyrwało mi się.

– Mówisz o Adamie? Nie wiedziałam, że to rodzina twojej matki. Razem, w tym samym czasie obroniłmy doktoraty w 1949 roku. Znałam dobrze jego żonę, była też chemikiem. To niezwykle dzielna kobieta, która dla męża poświęciła swoją karierę naukową. Dlatego ja, widząc jej przykład, nigdy nie zdecydowałam się wyjść za męża.

Roześmiała się i przechylając figlarnie głowę, zapytała:

– Czy mogę trochę poplotkować? – zapytała z filuternym uśmiechem.

– Czekamy na ploteczki – roześmiał się Jacek.

– Jadwiga i Adam byli wiele lat narzeczeństwem. Pracowali w katedrze chemii Politechniki Lwowskiej na wydziale Chemii Rolnej. Kochali się, ale Adam nie mógł zdecydować się na ślub. Cały czas czekał na lepsze czasy. Pobrali się dopiero, gdy wybuchła wojna (te lepsze czasy!). To był cudowny kolega, doskonale naukowiec, jedyną jego wadą było, że miał trudności z podejmowaniem decyzji. Po latach wojny spotkał się we Wrocławiu. Mieszkali niedaleko mnie w poniemieckim domku. Adaś robił doktorat. Robił, robił i nie mógł zdecydować się, kiedy skończyć. Zupełnie jak to było z ożenkiem. Wiecie, co zrobiła Jadzia? Zamknęła go w piwnicy, kazała pisać i tylko donosiła mu posiłki. Wpuściła go na kilka dni przed obroną! Wiedziała o tym? – zwróciła się do mnie.

– Nie. Pamiętam wujka, jako cudownego człowieka, chętnie bawiącego się z dziećmi, uczącego nas piosenek, włączającego z nami „na piracki okręt” pod stołem. Dlatego tak trudno było mi uwierzyć, że studenci lubelskiej uczelni nazywali go drewnianą piłą. Z ciotką Jadzią utrzymuję kontakty.

– To była mała kobietka, ale miała ogromne serce. Mówisz o Lublinie. Tak. Po zrobieniu doktoratu Adam dostał w 1949 roku ofertę objęcia profesury w tworzącym się UMCS, Uniwersytecie Marii Curie Skłodowskiej. Wyjechał i, niestety, kontakt się z nim urwał. Szkoda.

– Oboje pracują w Wyższej Szkole Rolniczej w Lublinie. Ciotka Jadzia nie do końca zaprzepaściła swoją karierę naukową. Dużo publikowała, obroniła doktorat – uzupełniłam.

– Pozdrów ich ode mnie. Zachowałam ich w milej pamięci-

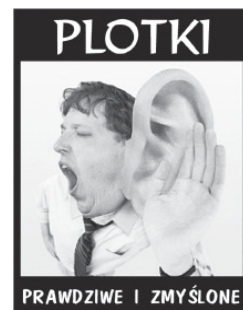
Przytaknęłam głową.

– Co jeszcze chcielibyście usłyszeć na temat przystosowania się repatriantów do nowego życia? Dodam, że niedawno, w 1964 roku, objęłam funkcję kierownika Katedry Chemii Organicznej. Pracuję nad habilitacją. Dużo publikuję. Podobnie jak dla moich kolegów Wrocław stał się moim miastem.

Spojrzała na zegar ścienny. Rozumieliśmy, że czas się żegnać.

Podziękowaliśmy jej za spotkanie. Ja obiecałam, że pozdrwię wujka Adama i ciotkę Jadzię. Czas już było się pożegnać. Musieliśmy wracać do bazy w Kłodzku.

Anna Wiśniewska (Winner)



Z blogu **Andrzeja Koraszewskiego**: Breżniew rządził 18 lat (wydawało się, że to wieczność). Stalin rządził 22 lata i przy tych rozmiarach tyranii to była wieczność. Putin rządzi już 24 lata i wybory wygra bez wysiłku. Nie musi uciekać się do ich falszowania. Rosyjska demokracja działa na zasadach ustanowionych przez Dzierżyńskiego. Jednych przeciwników

Putin kazał zamordować, inni są za kratami, jeszcze inni uciekli. Czy po śmierci Putina pojawi się jakiś Gorbaczow? Wątpię. Ale tego pewnie już się nie dowiem. W dzieciństwie słyszałem dowcip o człowieku, który codziennie przychodził do kiosku, brał do ręki gazetę, patrzył na pierwszą stronę i ją oddawał. Kiedy go zapytano, czy go gazety nie interesują, odpowiedział że czyta tylko nekrologi. Nekrologi są na ostatniej stronie – powiedziała kioskarka. Ten, na który czekam będzie na pierwszej – odpowiedział. To było przed śmiercią Stalina. Wielu się ucieszyło. Był powód do radości, ale mniejszy niż miano nadzieję. To się w tym biednym kraju zawsze tak kończy. Tak czy inaczej, chwilowo Putin jest w pełni sił, chociaż niektórzy próbują się dopatrzeć jakichś oznak niedomagań.

W Göteborgs Posten artykuł **Artura Szulca**, który próbuje tłumaczyć to co dla wielu Polaków jest oczywiste. Tym razem o rodzinie Ulmów: *Historia rodziny Ulmów, która została zamordowana 80 lat temu, jest przejmującym*



świadcstwem tego, jak ludzka dobroć może istnieć nawet w najciemniejszych czasach. /.../ We wrześniu ubiegłego roku za zgodą papieża beatyfikowano polską rodzinę Ulmów. Mimo że zarówno historia rodziny, jak i sama beatyfikacja mają charakter wyjątkowy, informacja o tym wydarzeniu ograniczała się do ogłoszeń w szwedzkich mediach. Być może uroczystość była postrzegana jako sprawa katolicka, a może chodzi o nieznaną nam historię, co ta rodzina zrobiła podczas II wojny światowej.

Wyjaśnieniem tego może być fakt, że w Szwecji dominuje negatywny obraz zachowań Polaków wobec Żydów w czasie Holokaustu. W szczególności rodzina Ulmów sprzeciwia się temu pogłądowi. 24 marca minęło 80 lat od brutalnego zamordowania ich przez niemiecką policję polową. W oczach Niemców popełnili poważne przestępstwo – ukrywali Żydów.



**HASSEL DENTAL**  
FRISKARE TÄNDER, TRYGGHET & ÖMTANKE

lekarz dentysta  
**Małgorzata Kajda**

Oferujemy nowoczesne leczenie stomatologiczne na najwyższym poziomie w atrakcyjnych cenach.

Zadzwoń i umów wizytę:

HASSEL DENTAL SE  
+46 72 175 84 55  
Värbergsvägen 173  
127 41 Skärholmen



# Hania Rani. The boat



© CC0 Public Domain

Fale pędzą ku wybrzeżu, rozbijając grzywy o ostre skały. Niektóre wpływają na wąską plażę, kładą się na piasku, udając koronkowe wachlarze. Morze posyła niestrudzenie kolejne szeregi spienionych najeżdźców. Oceaniczne basso continuo. Krzewy na wichrowym wzgórzu pochylone, chronią się przed uderzeniami wiatru.

Hania Rani przykucnęła. Na uszach słuchawki. Wokół drzewa i krzewy z żółtymi kwiatkami. Jest blisko Bowmore na wyspie Islay.

Zasiadła w palcie do pianina stojącego w wodzie obliżującej wąski skrawek plaży.

Dotyka klawiszy. Młoteczki uderzają o struny instrumentu.

Hania Rani w pokoju narożnym, uruchamia szpulowy magnetofon. Pomieszczenie wypełnia szelest morza w duecie z świszczącymi wichrami. Dźwięki złowione na Islay. Ponownie dotyka klawiatury.

Prosty temat płynie w dal. Wypływa w morze łódź, sunie miarowo, w rytmie nadanym przez kontrabas. Dźwięki pianina matowe, młoteczki wybijają subtelną melodię.

W poświęcie słońca, przebijającego się przez chmurne niebo, toń morską i sklepienie stają się jedną srebrzystą płachtą.

Temat nie mierza do finału, bo i nie o finalizację tu chodzi.

Temat w repetycji, wsącza się w jaźń, interferuje z falami mózgowymi. Po kilku nawrotach wrażenie, że czas odkleja się od niespiesznie płynącej łodzi.

Linii horyzontu nie odzyskamy, odległość zatarta. Zostaje temat, melodia nienatarczywa, przejmując władzę na odczuwaniem. Łódź, kołysana w rytm basu, sunie miarowo.

Temat nie niknie...

Ja w łodzi, w świecie, a jakby bez świata, a przynajmniej bez jego wymiarów. Już nic się nie zacznie, nic się nie skończy. Jest tylko trwanie.

Wchodzimy w szuware dźwięków oplatających temat. Ogniki natarczywych tonów czynią pewne poruszenie, lecz tylko na chwilę odrywają uwagę – uwagę od toni.

Wichry ustały, natrętne dźwięki umknęły, toń morza jedynym krajobrazem.

Spokojny rejs. Klawisze w duecie ze strunami basu. Łódź płynie bez oznaczonego celu, marszrutę ni punktów odniesienia.

Nie ma linii horyzontu, nie ma dystansu, jest tylko dal. Dal jest całością, jej jedynym oznaczeniem – bezkres.

Temat trwa...

A może to już tylko trwanie trwa.

Słucham utworu "The Boat". Nie chcę używać słów: hipnotyzujący, oczyszczający, uzdrawiający...

Wyjątkowo dobrze skrojone music video.

**Zygmunt Barczyk**

[https://www.youtube.com/watch?v=UBV-kGr1Z8&list=RDUBV-hkGr1Z8&start\\_radio=1](https://www.youtube.com/watch?v=UBV-kGr1Z8&list=RDUBV-hkGr1Z8&start_radio=1)

<https://www.youtube.com/watch?v=UBV-hkGr1Z8>

# Polski Instytut – humor na schodach

Z nostalgią wspominam okres kiedy Polski Instytut w Sztokholmie miał siedzibę w stylowym budyńeczku przy Villagatan 2. Przy wejściu zwykły się palić powitalny znicz. Na parterze były szatnie i toalety. Czasem urzędował tam kierownik polskiej organizacji turystycznej. Właściwe lokale mieściły się na piętrze. Wydawało się, że mogą pomieścić nieograniczoną ilość gości. W razie potrzeby dostawiano krzesła w holu. Sala miała kominek, w którym nigdy nie palono i balkon z widokiem na park.

Ze spotkań pierwsze miejsce zajmują niewątpliwie odwiedziny noblisty, Czesława Miłosza. Odczytywał swoje wiersze i fragmenty prozy, ale cały czas nerwowo przerzucał kartki w poszukiwaniu tekstu, który mu się zapodział. Wyczuwając zdenerwowanie, zapytano go, czy można go poczęstować jakimś napojem. "Piwo albo sok pomarańczowy z wódką" – padła odpowiedź. Instytut miał do dyspozycji tylko wino. Na szczęście sklep alkoholowy był jeszcze otwarty.

Prelekcja Stefana Ingvarssona o Gombrowiczu była imponująca. Stefan jest dwujęzyczny. Przetłumaczył fragmenty tekstów Gombrowicza na szwedzki, a jak wiadomo, pisarz ma bardzo trudny język.

Sztokholmski Salon Poezji narodził się też w Instytucie. Matka chrzestna Salonu, Anna Dymna, siedziała na stylowej ławeczce starając się przybrać najkorzystniejszą pozę, wiedząc, że będzie fotografowana.

W Instytucie odbywały się również koncerty. Często grał polski pianista, którego nazwiska nie wymieniam. Nie był moim idolem. Grał twardo, bez uczucia i do tego ubierał się



© CC0 Public Domain

nonszalancko w gumowe trepy bez pięty i koszulki w trupią czaszką. Na pociechę dała kiedyś recital nasza wielka pianistka, Halina Czerny-Stefańska.

Siedzieliśmy zawsze blisko artystów i owe kameralne spotkania robiły większe wrażenie niż wielkie imprezy.

Występ Anna Szałapak z Piwnicy Pod Baranami był jednym z silniejszych przeżyć. Zaprezentowała literacką pieśń, typu psalmu śpiewanego.

*Grajmy Panu na harfie,  
grajmy Panu na cytrze,  
chwalmy śpiewem i tańcem  
cuda te fantastyczne.*

W białej szacie, z ramionami wzniesionymi ku niebu zasłużyła w pełni by ją nazywać białym aniołem.

Następnym punktem programu był Jacek Wójcicki. Widziałam go wcześniej na jego własnym recitalu. Niewysoki, kręcone włosy do ramion, i sympatyczne oblicze – prawdziwy cherubinek. Natura obdarzyła go pięknym tenorowym głosem. Ale wtedy, po występie Anny Szałapak, wydał mi się banalny ze swoim tenorem i repertuarem w typie Kiepur. Stracił także nieco ze swej urody ponieważ ostrzyżony był na krótko.

Instytut aranżował wernisaże, występy lokalnego kabaretu Bagatela, recitale polskich piosenek – na przykład Teresy Tutinas i wieczory autorskie. Miałam tam własne spotkanie autorskie poświęcone książce "Moja Jurata". Prowadził je wydawca Tadeusz Nowakowski, jako że poznał tę książkę jak nikt inny. Z niepokojem obserwowałam niemal pustą salę. "Może nikt nie przyjdzie, będzie kompromitacja" – myślałam. Ale sala zapełniła się wkrótce po brzegi. Nie byłam jednak z siebie zadowolona. Posądzano mnie o snobizm, jako że Jurata była popularna jako kurort. Powinnam wytłumaczyć, że nawet w Pipidowie Dolnym cieszyłam się wakacyjną swobodą, ale tak się złożyło, że babcia mojej przyjaciółki miała domek w Juracie. Nie potrafiłam znaleźć na czas właściwej odpowiedzi. Z francuska brzmi to l'esprit de l'escalier, czyli humor na schodach.

Po każdej imprezie otwierano dodatkową salę z poczęstunkiem. W staroświeckich, kryształowych kieliszkach podawano wino, a na bocznym stoliku kusiły wyborne kanapeczki ze śledzikiem, paszтетem czy suchą kielbasą wyczarowane przez parę małżeńską gospodarzy posesji.

Dobre czasy się skończyły, kiedy nastąpiła zmiana kierownictwa. Nowa kierowniczka, rzuciła poprzez zniszczenie. Nie ustalono, kto po raz pierwszy użył tego sformułowania, ale podobno wywodzi się ono z antyku. Zaczęło się od usunięcia pięknego abażura w stylu art deco. Przy demontażu został nieodwracalnie uszkodzony. Zastąpił go tuzinkowy kinkiet ze sztucznyimi świecami. Potem wypełniono salę ciężkimi, żeliwnymi fotelami na biegunach. Nawet staroświeckie kieliszki zastąpiono prostszym wariantem. Wdąłam się kiedyś w dyskusję z kierowniczką. Pouczyła mnie, że Instytut nie jest domem polonijnym – jego przeznaczenie to krzewienie polskiej kultury wśród Szwedów. Odczułam to jako policzek. Zwróciłam uwagę, że współdziałamy w tej misji zabierając ze sobą szwedzkich przyjaciół, jeżeli program jest dwujęzyczny lub przemawia ponadnarodową mową muzyki.

Niedługo po tym Instytut przeniósł się do innego lokalu, gdzie zajmowano się wyłącznie administracją. Odnęta decyzją przeznaczono dawny lokal na prywatną rezydencję ambasadora, a salę kinową graniczącą z Instytutem rozebrano, ponieważ nie spełniała wymogów ochrony przeciwpożarowej. Obecnie Instytut sporadycznie daje o sobie znać, ale dotychczas nie korzystaliśmy z anonsowanych imprez.

**Teresa Urban**



# Kiedy życie zmienia się nagle

Tak, to prawda. Ktoś wygrywa fortunę w lotto i nagle zostaje milionerem. Ale taki przypadek zdarza się może jeden na dziesiątki milionów. Najczęściej życie zmienia się zupełnie inaczej... Mniej lub bardziej tragiczne. Jedno jest pewne – tych zmian nikt nie będzie zazdrościł.

Śmiało mogę powiedzieć: życie odwróci się "do góry nogami". Nagle wszystko stało się nieważne i idzie na drugi plan - marzenia, złość i gniew. W tym momencie jest ważne tylko jedno. Tak się stało - u mnie, w moim domu u najbliższej mi osoby.

Nigdy nie sądziłem, że kiedyś ta zmiana dotknie moją rodzinę. Zawsze działało się to gdzieś daleko, lub nawet bliżej, ale nigdy u mnie. Może dlatego, to właśnie uspiło moją czujność. Ale należy też pamiętać, że nigdy nie mieliśmy po siedemdziesiąt lat.

Siedziałem przy barku w kuchni i pisałem jakieś wspomnienia. Widziałem, że moja żona oglądała telewizję i jednocześnie wpatrywała się w swe niezbędne urządzenie XXI wieku – w Iphone. Trwało to dość długo i nic nie wskazywało na to, że ta noc (i parę następnych) będą nieprzespane. Słyszałem jak w łazience myła zęby i przemknęła się za moimi plecami do sypialni. Pisanie szło mi dość dobrze, a czas płynął szybko. Nawet nie pamiętam dokładnie, która była godzina, dopóki nie usłyszałem przerażającego krzyku dobiegającego z sypialni: „MAREK!!!”. Wykluczałem pożar, czy złodziei. Bardziej, w pierwszym ułamku sekundy, podejrzewałem jakiegoś nieproszonego gryzonia, lub wielkiego jak mop pajaka, który przstraszył moją żonę. Wpadłem jak strzała do sypialni. I wierzę mi, że prawie jej nie poznałem... A przecież, jeszcze przed godziną, była taka jak zawsze.

W momencie, kiedy zapaliłem światło, jej twarz była jak z kamienia, jakby zamrożony grymas bólu. Oczy półzamknięte i, chyba, chciała mi coś powiedzieć. Właściwie trudno nazwać to mówieniem. Coś bełkotała, czego dokładnie nie mogłem zrozumieć. Od chwili zapalenia światła w sypialni upłynęło właśnie te parę sekund, które odmieniło nasze życie. Mam nadzieję i wierzę, że tylko na krótki czas.

Intuicja i pewne wiadomości upewniły mnie, że nie ma na co czekać, że sam nie dam rady. Złapałem telefon naciśniętą trzy cyfry: 112. Uspokajający głos dyżurnej zadającej podstawowe pytania o stan mojej żony, po czym szybko poinformowała mnie, że ambulans jest w pobliżu i będzie pod naszym domem za około 2 do 3 minut. Wybiegłem z domu, żeby otworzyć furtkę wejściową i w tym momencie dosłownie wbiegł personel ambulansu z kilkoma walizkami zawierającymi niezbędne urządzenia ratujące życie.

Podłączono natychmiast kroplówkę. Widziałem jak przez mgłę jakąś cieć, która powoli kapiała w przezroczystym pojemniku. Sam nie wiem, dlaczego zapamiętałem właśnie ten szczegół. Może wydawało mi się, że to ratują jej życie. Podłączono również kabelki do EKG monitorując jednocześnie pracę serca. Ratownicy zadawali mi pytania, na co żona choruje, jakie bierze leki. Nie miałem zielonego pojęcia. Ona nigdy nie mówiła mi o swoich chorobach. Dużo później zacząłem się

zastanawiać, dlaczego? Pogrzebałem w apteczce i znalazłem jakieś opakowanie z jej nazwiskiem. To dało ratownikom nieco do myślenia. Objawy były jednoznaczne – STROKE (wylew krwi do mózgu).

Pamiętam jeszcze konsultację medyczną przez telefon ze specjalistami w szpitalu Huddinge i Karolinska w Solnej. Usłyszałem decyzję: Huddinge. Kiedy zamknęły się drzwi ambulansu, słyszałem pojękiwania z bólu, jaki dokuczał mojej żonie. Wiedziałem, że żyje, że ma znakomitą pomoc, że jakoś to będzie i damy radę.

Musiałem się jakoś pobierać, ale nie miałem zbyt wiele czasu. Wiedziałem, że liczą się sekundy, ale też robiłem wszystko (nawet liczyłem do dziesięciu), żeby nie wpaść w panikę. Bo to zły doradca. Ambulans odjechał, a ja zdecydowałem się jechać własnym samochodem, bo może trzeba będzie coś przywieźć dla niej z domu. Może był to głupi i pochopny pomysł, ale w panice, która mi towarzyszyła, nie pozwalała w miarę logicznie myśleć. A przecież na tak krótkiej trasie z domu do szpitala, około 6 km, mogło się i mnie coś przytrafić. Przecież są taksówki, mogłem też jechać z żoną ambulansem. Ale... stało się. Decyzję już podjąłem.

W szpitalu jest wszystko co potrzeba – ubrania szpitalne, szczoteczka i pasta do zębów, a nawet szczotka do włosów. Będąc jeszcze w domu złapałem torbę podróżną i zastanawiałem się co muszę dla żony zapakować i jej zawieźć. Niezbędne rzeczy, ubrania, telefon, ładowarkę. Łapałem z jej szafy, beźmyślnie, co się dało. Wyjechałem z garażu i już nieco spokojniejszy, może na skutek chłodu i świeżego powietrza, zacząłem sam się pocieszać i uspokajać. „Marek, spokojnie, jedź ostrożnie, ona jest pod dobrą opieką, damy radę”. Miałem dość dobre doświadczenie z życia szpitalnego, chociaż minęło ponad 50 lat, od kiedy pracowałem na bloku operacyjnym i w ambulatorium w Szpitalu Bielańskim w Warszawie jako salowy. Dzwonne uczucie. Bo właśnie ten obraz stanął mi przed oczami jadąc do szpitala. Wspomnienia te jakby mnie umacniały i dodawały siły, bo pytanie było dokuczliwe i bardzo aktualne – jak to dalej będzie?

Ta krótka podróż z domu do szpitala trwała zaledwie paręnaście minut. Wyjechałem na szpitalny parking. Była chyba godzina druga w nocy. Musiałem wziąć się w garść. Żona nie mogła poznać po mnie, że się rozkleiłem. To by jej na pewno nie pomogło. Widzę zniecierliwioną przeze mnie automat parkingowy. Był to ten starszy model, ale nie mogłem przeczytać, z tych nerwów potrzebna była powiększająca. Przechodziła obok jakaś pani i poprosiłem ją o pomoc. „Włóż kartę do czytnika i wpisz kod”. O, Boże drogi, jaki ja mam kod? Przecież używam go ponad 40 lat! Nagle zapomniałem. Niebawem, że wstrząs psychiczny może dawać

takie efekty. Na szczęście ten model parkomatu miał również czytnik dotykowy, i po tej prostej, ale w moim przypadku skomplikowanej sytuacji, mogłem udać się do recepcji AKUT w szpitalu. „Proszę czekać, żona ma aktualnie przeprowadzaną tomografię. Upłynęła może następna godzina. Na łóżku szpitalnym, z podłączonymi rurkami, kabelkami i jakimś mrugającym monitorem, wprowadzono moją żonę do poczekalni. W sposób bardzo ograniczony udało mi się nawiązać z nią kontakt i zamienić parę słów. Trochę kontaktowała, ale i tak cieszyłem się bardzo, że czuje i wie, że jestem przy niej, przy jej łóżku.

Za plecami usłyszałem głos: „Proszę poczekać na rozmowę z lekarzem”. To czekanie wydawało mi się wiekami. A może było to tylko parę minut. Czekałem jak na wyrok i bałem się tej rozmowy strasznie. Dawałem sobie nadzieję, że może nie będzie aż tak źle. Faktem jest, że poczekalnia przy akut, ambulatorium nie nastraja zbyt pozytywnie. Przecież przywożone są tam osoby z najróżniejszych wypadków.

Wszystko zaczęło mnie irytować. Zawołałem personel pomocniczy i poprosiłem o pomoc – żona musi udać się do toalety. „A co, nie może iść sama?” – padło pytanie. Szlag mnie trafił, jak usłyszałem odpowiedź. Przecież ona jest podłączona do różnych urządzeń i nie chodzi. Opanowałem się. Przecież walczyłem o moją żonę, która była przykuta do łóżka rurkami i kabelkami. Skręcała się dosłownie z bólu czaszki i dodatkowo pęcherza. Kiedy krzyknąłem głośno „pomocy” wręcz spacerowym tempem podeszły dwie znudzone salowe (undersköterskor), zakładały plastikowe fartuchy, gumowe rękawice i maski na twarz i, jakby z łaski, jej pomogły. To też utkwilo mi głęboko w pamięci. Później przyszedł lekarz i oznajmił, że w tej chwili można stwierdzić inflamację nerwu balansu. Przewieziono ją na oddział intensywnej opieki.

Wróciłem do domu około godziny 6 rano. Nawet nie myślałem o spaniu. Wysłałem wiadomość do naszych dzieci. Córka przejęła tę najważniejszą rolę koordynacyjną i kontaktową z lekarzami i z żoną pracującą. To prawdziwa profesjonalistka. Bardzo mi pomogła, zwłaszcza, że zauważyłem trudności językowe, jeśli chodzi o nazewnictwo medyczne. Nasza córka jest niezwykle opanowana i bardzo zaradna. Ważne, żeby nie dzwonił do lekarza wszyscy po kolei.

Dla każdego chorego jest bardzo ważne, kiedy czuje wsparcie najbliższych. Daje im to poczucie bezpieczeństwa i, na pewno, w dużym stopniu przyspiesza leczenie. Lekarze oznajmili, że po konsultacjach stwierdzili, że istnieją dwa zatory (propar) i muszą ją przewieźć do innego szpitala o większych kompetencjach. Był to szpital Karolinska. Wierzę mi, że tak nowoczesnego szpitala nie widziałem nawet w telewizji. Przed drzwiami, gdzie położono moją żonę, całą dobę dyżurowały 2 osoby wpatrzone w zainstalowane monitory, na których pulsowały różne linie i punkty kontrolujące funkcje życiowe. Nawet nie pytałem się, co te kreski oznaczają, ale byłem pewien, że żona jest pod dobrą opieką na świecie.

Po paru dniach, podczas kolejnej wizyty, lekarze oznajmili, że starają się rozpuścić za pomocą kroplówek te dwa zatory. I prawdopodobnie operacja nie będzie potrzebna. Wyglądało na to, że powiodło się. Teraz opieka nad żoną spadła na naszą rodzinę. Musimy nauczyć się wszystkiego od nowa. Mam nadzieję, że tylko na najbliższe

miesiące. A potem wszystko wróci – tak, jak dawniej.

Żonę przewieziono do bardzo przytulnego, niemalże rodzinnego, centrum rehabilitacji w podsztokholmskiej miejscowości Täby. Po tygodniu wróciła do domu. Wielka radość dla wszystkich. Przysłowie mówi, że „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Wypożyczono nam wszystko co niezbędne do rehabilitacji w domu.

Żona właśnie obchodziła swe urodziny i spotkała się całą naszą rodziną. Najważniejsze, oczywiście, wnuki, które położyły się w łóżku obok niej. Widać było po raz pierwszy od paru tygodni błysk radości w jej oczach, pomimo niesamowitego zmęczenia. Robi postępy każdego dnia. Uczy się chodzić od początku – krok po kroku. Na razie parę metrów z rulatorem. Dużo śpi. Wracają powoli funkcje nóg, rąk i wzroku. Mówi wyraźnie i pamięć wróciła również.

Jak będzie dalej, jak długo to potrwa – tego nikt nie może przewidzieć. Lekarze prorokują najlepsze. „Da radę” – mówią, wszystko powróci do normy. Parę dni po powrocie do domu, odwiedziła ją trójka rehabilitantów i ustalili plan treningów i pomocy.

Te parę dni nauczyły nas tak wiele. Ta moja opowieść, to absolutnie nie jest medyczna instrukcja – raczej rutyna, której często brakuje w codziennym życiu, a specjalnie, gdy zdarzy się coś podobnego. A więc... informujemy się wzajemnie o chorobach, dolegliwościach i lekach, która na co dzień zazywamy. Nigdy nie wiadomo, kiedy personel ambulansu nas zapyta. To bardzo ważne już w pierwszych minutach tej „tykającej bomby”, jaką może być zawał lub udar mózgu. Nie bójmy się odwiedzać lekarza. Wskazana jest kontrola u dorosłej osoby – to minimum raz w roku na kompleksowe badania, ciśnienia krwi, poziomu cukru, EKG i osłuchania płuc. Jak się dowiedziałem z rozmów z lekarzami, większość udarów można byłoby uniknąć. Trzeba przestrzegać pewnych zasad, o których nigdy nie rozmawiamy i często nawet nie mamy ochoty rozmawiać, bo przecież „nas to nie dotyczy”. Ja i moja żona już dzisiaj wiemy, że niezbędna jest kontrola ciśnienia krwi. Możemy to robić sami od czasu do czasu i zapisywać w kalendarzu, ale pozwólmy lekarzowi zrobić to raz albo dwa w roku. Konsultujmy z lekarzem nadwagę. Nie jest to wcale takie łatwe zrzucić parę kilogramów. Nadwaga – wszyscy wiedzą o czego prowadzi. Na pewno do mniejszych, lub większych kłopotów zdrowotnych. (...)

Nie przesadzajmy z alkoholem. Oczywiście, jest on dla ludzi, ale ostrożnie z nim. Papierosy to cicha i powolna śmierć. Też wszyscy o tym wiemy, a jednak trudno jest się uwolnić od tego nałogu. A szkoda – palenie rujnuje nasze zdrowie i jest to chyba najpoważniejsza przyczyna prowadząca do wylewu i zawału.

I najważniejsze, o czym nie można zapomnieć albo przemilczeć: to choroba cywilizacji – STRES. Niekiedy właśnie on towarzyszy nam od dłuższego czasu i powoduje spustoszenie w naszym organizmie, pogarsza obieg krwi, buduje poziom tłuszczów i cukru, uszkadzając naczynia, często prowadząc do udaru mózgu. Zwróćmy szczególną uwagę podczas samodzielnego mierzenia ciśnienia krwi, specjalnie tego dolnego zwanego tętniczym, żeby nie przekraczało 90. Jeśli przekracza, kontaktujmy się jak najszybciej z lekarzem. (...)

Marek Lewandowski





## ADVOKATERNA BIGOSINSKI & BIGOSINSKI AB

SPRAWY rodzinne  
gospodarcze - karne - pracy  
budowlane - dotyczące najmu

Advokat  
Anita Bigosinska  
Advokat  
Douglas Bigosinski  
Senior advisor - advokat  
Andreas Bigosinski  
Aplikant  
Wiktorija Moczek  
Aplikant  
Tomas Lesniewski



TEL: 08-663 20 40  
info@advokatbigosinski.com  
VALLHALLAVÄGEN 52  
114 27 STOCKHOLM



**Advokat  
Monika Zytomierska**  
mówi po polsku.  
Prawo karne, rodzinne,  
socjalne i migracyjne  
Pierwszy kontakt mailowy  
lub telefoniczny  
jest zawsze nieodpłatny.

STRONA INTERNETOWA:  
www.advokatifirmanz.se/pl  
TEL: 08-21 44 40  
info@advokatifirmanz.se  
ADRES: Östermalmsgatan 90  
114 59 Stockholm



## KANCELARIA PRAWNA

jur kand **Anna Cieślak**  
jur kand **Victoria Cieślak**

Prawo rodzinne. Prawo spadkowe.  
Prawo pracy. Oszkodowania.  
Roszczenia. Spory cywilne.

Pierwsza porada bezpłatna.

Pomoc w kosztach sądowych.

**T: 070 755 3810**  
**T: 070 482 9975**

anna@juristfirmancivia.com  
victoria@juristfirmancivia.com

www.juristfirmancivia.com



## KANCELARIA ADWOKACKA

advokat Jerzy Misiowiec

Sprawy cywilne. karne, rodzinne,  
spadkowe, odszkodowania,  
zakładanie i obsługa prawna firm,  
prawo pracy.  
Pomoc w uzyskiwaniu zwolnienia  
z kosztów sądowych  
(rättshjälp, rättskydd).

**ADVOKATFIRMAN  
JERZY MISIOWIEC AB**  
Krukmakaregatan 33 A, 1/2 tr  
118 51 STOCKHOLM  
Tel: 08-679 65 31  
Fax: 08-458 11 27



**Service, problemy  
z przeglądem  
technicznym, naprawy  
powypadkowe,  
elektryka i elektronika  
samochodowa  
ustawianie zbieżności**



### Birka Bilelektronik Service

Sztokholm: Birkagatan 20 Tel: 08-34 15 68 (Andrzej)  
boschbilservice@bredband2.com  
pon-piąt. 9-17 (lunch 13-14)  
www.birkabilverkstad.se

Nowy właściciel - warsztat z wieloletnim doświadczeniem

# MBL

## Redovisning & Konsulting

- » Księgowość, administracja, rejestracja wszystkich rodzajów firm.
- » Doradztwo ekonomiczne.
- » Sporządzanie årsbokslut, årsredovisningar.
- » Sporządzanie deklaracji rocznych osób prywatnych i firm.
- » Pomoc w załatwianiu spraw w urzędach szwedzkich.

**BOŻENA ZIEMBA**  
Hästholmsvägen 28, 131 30 NACKA  
Tel. +46 (8) 30 40 80  
Email: bozena@mbfredovisning.se



**Jurek Hirschberg**  
tłumacz przysięgły  
z języka szwedzkiego na polski  
z języka polskiego i angielskiego  
na szwedzki

070-626 38 34  
jurek.hirschberg@hirschberg.se  
www.hirschberg.se  
Sportstugevägen 6B, 182 35 Danderyd

## PRZEWOZY PASAŻERSKIE PACZKI I PRZESYŁKI



**GWARANCJA NAJNIŻSZEJ CENY!**

SZWECJA

POLSKA

